

## Radość z wojny

Najpierw muszę otwarcie przyznać, że lekko niepokoiła mnie zawsze i nadal nie przestaje niepokoić kwestia, na ile chrześcijanin może się ucieszyć z wybuchu wojny? Oczywiście, polską odpowiedź na ów niepokój w zasadzie rozstrzyga sławne błaganie z „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa”: „O wojnę powszechną za wolność ludów prosimy Cię Panie”.

Ale wiadomo, że Mickiewicz zwykł zapuszczać się daleko w obszary heterodoksji, więc i tak pozostaje wątpliwość, czy można go w tej delikatnej materii uznać za źródło moralnego autorytetu. Na powrót sięgnąłem więc ostatnio do Augustyna i Tomasza, aby w nich znaleźć intelektualne ukojenie. Augustyn wydał mi się nazbyt fundamentalistyczny, skoro w „Państwie Bożym” nawet tego, co smuci się z faktu wojny uznaje i tak za nędznika, a za jeszcze większego nędznika tego „kto myślałby, że jest szczęśliwy, bo prowadzi wojnę bez bólu, gdyż taki człowiek stracił ludzkie uczucia” (XIX,7). Z kolei Tomasz unika odpowiedzi wprost na pytanie o radość z wojny, jednak z jego wywodów na temat *bellum iustum* oraz radości płynącej z triumfu sprawiedliwości i ukarania złoczyńców gotów jestem wnioskować, iż byłby skłonny usprawiedliwić może nie tyle radość z samego faktu wojny, co z jej słusznych celów i skutków, o ile takie nastąpią. Zwłaszcza Tomaszowy *passus* ze sławnej kwestii 40 „Summy” nakazujący biskupom i duchownym pod rygorem grzechu „wytwarzać u ludzi usposobienie do prowadzenia wojny sprawiedliwej i zagrzewać do niej” (II-II,40,2) wydaje mi się mocnym argumentem na rzecz takiego

domniemania. Nawiasem mówiąc, od czasu do czasu brakuje mi w nauczaniu Kościoła choćby niewielkiego respektu dla tego Tomaszowego nakazu, a ostatnio ów brak odczułem nawet trochę bardziej dotkliwie.

### **Przeczytaj również: Optymizm technologiczny – felieton Jana Rokity**

No dobrze, czas powiedzieć o co mi naprawdę chodzi. Ano chcę się przyznać PT Czytelnikom „Teologii”, że dawno nie miałem tak radosnego, jak tym razem, przełomu starego i nowego roku, a to za sprawą dwóch szybkich wojen, w których nie tylko ujawniła się militarna moc, ale przede wszystkim odwaga użycia tej mocy w słusznej sprawie przez Amerykę i jej charyzmatycznego przywódcę. Bożonarodzeniowa zbrojna operacja ratunkowa dla nigeryjskich chrześcijan zdała mi się zjawiskiem politycznie niezwykłym, jakby całkiem nie z tych czasów i nie z tej planety. Ameryka już wcześniej upominała się o prześladowanych, wypędzanych z domów i zabijanych chrześcijan nigeryjskich, a zarówno Donald Trump, jak i inni republikańscy politycy (m.in. senator Ted Cruz) grozili rządowi nigeryjskiemu, iż jeśli sam nie potrafi/nie chce (???) zapewnić bezpieczeństwa wyznawcom Chrystusa, to USA wystąpią przeciw zbrodniczej islamistycznej partyzantce. Jednak to, co wydarzyło się w Nigerii w noc Bożego Narodzenia, dla tamtejszych chrześcijan musiało zakrawać na cud. Oto na przekór całej logice politycznej współczesności, która wojnę w obronie prześladowanej religii, i to jeszcze religii chrześcijańskiej, traktuje jako jakąś polityczną aberrację, albo li-tylko przykrywkę dla skrywanych niecznych intencji, Ameryka uderzyła w umiejscowione w północno-zachodniej Nigerii obozy szkoleniowe islamistów, przygotowujących się tam do rozprawy nie

tylko z nigeryjskimi chrześcijanami, ale także z aktualnym postępowo-muzułmańskim rządem w Abudży. Więc ów rząd, chcąc nie chcąc, zmuszony był okazać wsparcie dla akcji Amerykanów.

Ale co w tej sprawie jest nadzwyczaj godne uwagi, to fakt, iż Trump nie chce od Nigerii niczego więcej ponad to, aby rząd tego kraju przestał po cichu tolerować islamistyczne pogromy chrześcijan i na serio zabrał się za zagwarantowanie wolności religijnej. Wiadomo, że nad Nigerią i jej muzulmańskimi władzami od przeszło pół wieku ciąży zbrodnicze zagłodzenie i inkorporacja katolickiej Biafry – jedno z największych okrucieństw II połowy XX wieku. A jeśli mawiano dawniej o tzw. „idealizmie” amerykańskiej polityki, który w niemal zgodnej opinii świata miał ostatecznie umrzeć za prezydentury Trumpa, to trzeba koniecznie zauważyć, że takiego wykwitu owego „idealizmu”, jak i wojny tak w pełni zgodnej z klasycznymi trzema wymogami *bellum iustum*, ani Stany Zjednoczone, ani żadne inne demokratyczne mocarstwo nie podjęło w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Nic dziwnego, że pośród nigeryjskich chrześcijan, zwłaszcza w katolickiej Biafrze, zapanowała euforia, o czym można się dowiedzieć z relacji tamtejszych księży, publikowanych choćby na łamach „The Catholic World Report”. Spontanicznie i szczerze dzielę tę radość z nigeryjskimi braćmi w wierze, świadom rzecz jasna, iż w Nigerii nie nastąpił triumf sprawiedliwości, ale co najmniej siły zła zostały wyraźnie osłabione.

Późniejsza o tydzień zbrojna interwencja w Wenezueli to przypadek całkiem odmienny. Stawką było tu bowiem z jednej strony obalenie i wprowadzenie jednego z ostatnich komunistycznych tyranów współczesnego świata – Nicolasa Maduro, którego reżim trzymał się na bagnetach i pieniądzach Moskwy i Pekinu; z drugiej zaś – rywalizacja o kontrolę nad tamtejszymi bogatymi złożami surowców energetycznych.

Uprowadzony w wyniku brawurowej akcji amerykańskich komandosów tyran z Caracas miał za zadanie pilnować tych złóż, a przede wszystkim robić dywersję i zalewać narkotykami Amerykę, korzystając z wyjątkowego położenia geopolitycznego swego kraju – o rzut beretem przez morze na Florydę, oraz z domniemanej bezkarności, jaką dawać mu miał polityczny i militarny parasol dwóch mocarstw nuklearnych – Rosji i Chin. Wszystko wskazuje na to, że trzymany był na krótkiej smyczy przez tajne służby komunistycznej Kuby, gdzie niegdyś przeszedł szkolenie ideologiczne pod okiem sławnego bojowca Pedra Prieto, towarzysza Fidela Castro z czasów rewolucji. Dobitnie świadczy o tym ujawniona obecnie informacja, iż niemal wszyscy wojskowi zabici podczas akcji uprowadzenia Maduro – to oficerowie kubańskich służb specjalnych. Komunistyczny reżim z Caracas trudno nawet nazwać rządem tego kraju, był on bowiem w istocie wysuniętą antyamerykańską placówką dywersyjną, utrzymywaną przez Moskwę i Pekin za pośrednictwem Hawany. Likwidacja takiej placówki powinna być dla Ameryki oczywistością od wielu lat i aż dziw bierze, że dopiero Trump okazał się przywódcą zdolnym przeprowadzić to, co dawno winno było być przeprowadzone.

Przyznam, że wobec takich okoliczności, moja satysfakcja, albo nawet i radość płynąca z tego, iż amerykański lew w końcu przestał beczynn timer pomrukiwać i podniósł się, by walnąć jedną łapą przez Morze Karaibskie, wydaje mi się czymś najzupełniej naturalnym i rozsądnym. I nie mogę się przy tym nadziwić, skąd tyle oburzenia i złości na Trumpa w demokratycznej Europie, a przede wszystkim w samej Ameryce, których ton nie odbiega wcale od bezsilnych bluzgów miotanych teraz z Moskwy i Pekinu. Zastanawiam się jak to możliwe, że cały wolny świat nie wyraża dziś Ameryce uznania za to, że w końcu okazuje gotowość bicia się o zachodnie ideały, zarówno broniąc chrześcijan w Afryce, którzy są przecież duchowymi dziedzicami

„naszej” euro-amerykańskiej wiary w Chrystusa, jak również za to, że w spektakularnej akcji potrafi dowieść obu wschodnim despotiom, iż nawet ich podwójny parasol nad jakimś reżimem nie jest w stanie zapewnić mu trwania i bezkarności. Z rozszerzającymi się ze zdziwienia oczami czytam na przykład takiego „barona” amerykańskiej publicystyki – Davida Rothkopfa, byłego naczelnego magazynu „Foreign Policy”, który jeszcze niedawno opublikował dwie książki i jakąś setkę artykułów dowodzących, że skrajny izolacjonizm Trumpa niesie wolnemu światu zagładę, gdyż Ameryce będzie teraz kompletnie obojętne kto kogo gdzieś napadnie i jaki reżim zainstaluje się tam, czy gdzie indziej, zaś obecnie – po Nigerii i Wenezueli – bez zmrużenia oka oskarża tegoż samego Trumpa o „putinizację amerykańskiej polityki zagranicznej”, czyli nagi, awanturniczy neo-imperializm.

**Przeczytaj również: New York, New York... – felieton Jana Rokity**

No dobrze – myślę sobie – to jeśli już Trump musi być dla lewicowego amerykańskiego Żyda potworem, to – na miły Bóg – warto by się przynajmniej zdecydować, czy istotą jego „potworowości” jest obojętność na świat, czy też żądza zawładnięcia światem, bo jako żywo, obie te rzeczy są nijak ze sobą do pogodzenia. Albo z kolei, z całkiem innej ideowej strony, czytam Wolfganga Münchaua (skądinąd bożyszczę polskiej nowej prawicy z powodu jego niemądrej książki wieszczącej rzekomy upadek Niemiec), który załamuje ręce nad wprowadzeniem Maduro, gdyż otwierać ma ono drogę Moskwie i Chinom do kolejnych napaści i zaborów, a tym samym prowadzić już z pewnością do rychłej globalnej wojny. I znów muszę przecierać oczy ze zdumienia. No bo jak to? Wedle czołowego prawicowego „realisty”, pokazanie pazura przez Amerykę ośmiela do dalszych agresji obie wschodnie despotie, czyli *à rebours* – jedynym sposobem, jaki mamy dla ich powstrzymania, jest

kłucie ich w oczy naszą słabością, drżeniem ze strachu i skomleniem o litość, którą wtedy oni wielkodusznie nam okażą. Czy naprawdę aż tak głęboką konwersję przeszedł w Europie tzw. „prawicowy realizm”, iż moc uznaje za klęskę, a w słabości upatruje jedynej szansy? No cóż! Słucham i czytam to wszystko, i pewnie popadłbym wkrótce w jakiś zawrót głowy, gdyby nie ów okropny Trump, który po wywołaniu dwóch wojen dostarczających mi na przełomie roku tyle radości (usprawiedliwionej przez Tomasza), mówi teraz, iż w kolejności Kuba „jest już gotowa do upadku”. Odzyskuję więc równowagę myśli oraz dobry nastrój i z pełnym nadziei wyczekiwaniem spozieram w głąb rozpoczętego roku 2026.

*Jan Rokita*

*fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum*

**Przeczytaj również: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej**